

NICHOLAS SPARKS

NA RATUNEK



Prolog

Ta burza miała się okazać jedną z najgorszych w historii Karoliny Północnej. Ponieważ szalała w roku 1999, przesądni mieszkańcy uznali ją za zły omen, początek końca świata. Inni potrzásali po prostu głowami, twierdząc, że wiedzieli, iż coś takiego wcześniej czy później na pewno się wydarzy. Przez wschodnią część stanu przeszło łącznie sześć udokumentowanych trąb powietrznych, niszcząc po drodze prawie trzydzieści domostw. Zerwane linie telefoniczne zatarasowały drogi; płonęły niegaszone przez nikogo transformatory. Powalonych zostało tysiące drzew, trzy główne rzeki wystąpiły z brzegów; jeden wybryk Matki Natury odmienił na zawsze życie wielu ludzi.

Wszystko zaczęło się w okamgnieniu. Jeszcze przed chwilą letnie niebo zasnuwane było chmurami, nie ciemniejszymi jednak niż zwykle podczas niepogody; zaraz potem eksplodowało błyskawicami, huraganem i oślepiającą ulewą. Burza nadciągnęła z północnego zachodu i przecinała stan z szybkością niemal czterdziestu mil na godzinę. Stacje radiowe natychmiast nadały ostrzeżenia, informując o jej

gwałtowności. Ci, którzy mogli, schronili się w domach, ale ci, którzy jak Denise Holton jechali autostradą, nie mieli się gdzie podziać. Znalazłszy się w środku nawałnicy, Denise niewiele mogła zrobić. Deszcz lał miejscami tak mocno, że samochody zwolniły do pięciu mil na godzinę. Twarz Denise zastygła w maskę skupienia i pobierały jej kłykcie palców zaciśniętych na kierownicy. Zdarzały się momenty, że w ogóle nie widziała drogi, lecz zatrzymanie się w miejscu oznaczało niechybną katastrofę: jadący z tyłu ludzie zobaczyliby jej samochód zbyt późno, by zahamować. Denise przełożyła przez głowę pas bezpieczeństwa i pochyliła się do przodu, wypatrując przerywanej linii i dostrzegając ją tylko od czasu do czasu. Chwilami miała wrażenie, że prowadzi, kierując się wyłącznie instynktem; widoczność była zerowa. Deszcz zalewał przednią szybę niczym fala oceanu, zasłaniając niemal wszystko. Reflektory wydawały się całkowicie zbędne i miała ochotę przystanąć, ale gdzie? Gdzie byłaby bezpieczna? Na poboczu? Ludzie jechali na oślep, podobnie jak ona. Z dwójga złego bezpieczniejsza wydawała się dalsza jazda. Jej oczy co sekunda przeskakiwały z tylnego lusterka na jezdnię i na światła jadącego przed nią samochodu; modliła się i miała nadzieję, że wszyscy na drodze robią to samo, wypatrując wszelkiego rodzaju zagrożeń i starając się uniknąć kraksy.

A potem burza osłabła tak samo nagle, jak się zaczęła, i znowu można było coś zobaczyć. Denise podejrzewała, że dotarli do przedniego skraju nawałnicy; wszyscy na autostradzie doszli najwyraźniej do tego samego wniosku. Mimo śliskiej jezdni samochody przyspieszyły, starając się wyprzedzić burzę. Denise również dodała gazu, dotrzymując im kroku. Dziesięć minut później, ciągle w deszczu, ale coraz mniejszym, zerknęła na wskaźnik paliwa i poczuła,

jak ściska ją w żołądku. Wiedziała, że musi się wkrótce zatrzymać. Nie miała dość benzyny, żeby dojechać do domu.

Mijały kolejne minuty.

Ruch na autostradzie był duży i Denise zachowywała czujność. Niebo rozświetlał wąski sierp księżycy w pierwszej kwadrze. Zerknęła ponownie na tablicę rozdzielczą. Wskaźnik paliwa tkwił głęboko na czerwonym polu. Choć obawiała się, że dogoni ją burza, zwolniła, starając się oszczędzać benzynę i mając nadzieję, że jej nie zabraknie. Mając nadzieję, że nie dogoni jej burza.

Ludzie zaczęli ją wyprzedzać, ochlapując przednią szybę wodą, której nie nadążały zbierać wycieraczki. Ponownie dodała gazu.

Po dziesięciu kolejnych minutach odetchnęła z ulgą. Według znaku informacyjnego od stacji benzynowej dzieliła ją jedna mila. Po chwili włączyła migacz, zjechała z autostrady i zatrzymała się przy pierwszym czynnym dystrybutorze.

Na razie jej się udało, wiedziała jednak, że burza posuwa się naprzód. Dotrze do tego miejsca najpóźniej w ciągu następnych piętnastu minut. Nie miała zbyt dużo czasu.

Tak szybko jak tylko było możliwe napełniła bak i pomogła Kyle'owi wysiąść z samochodu. Kyle trzymał ją za rękę, kiedy poszli zapłacić; upierała się przy tym ze względu na dużą liczbę tankujących samochodów. Kyle nie sięgał klamki i wchodząc, spostrzegła, że w środku kłębi się prawdziwy tłum. Wyglądało na to, że wszyscy jadący autostradą wpadli na ten sam pomysł i postanowili dokupić benzyny, póki jeszcze mogli. Denise wzięła puszkę dietetycznej coli, trzecią w ciągu tego dnia, a potem przeszukała stojące przy tylnej ścianie lodówki. Prawie w samym rogu znalazła truskawkowe mleko dla Kyle'a. Robiło się późno, a on lubił wypić

mleko przed snem. Miała nadzieję, że jeśli uda jej się umknąć przed burzą, mały prześpi całą drogę do domu.

Kiedy podeszła do kasy, była piąta w kolejce. Stojący przed nią ludzie sprawiali wrażenie zmęczonych i zniecierpliwionych, jak gdyby nie mogli zrozumieć, dlaczego o tej porze panuje tu taki tłok. Zupełnie jakby zapomnieli o burzy. Ale ich oczy świadczyły o czymś innym. Wszyscy byli spięci. Prędszej, mówiły ich twarze, musimy się stąd jak najszybciej wynosić.

Denise westchnęła. Czując napięcie w karku, odchyliła do tyłu ramiona, lecz niewiele to pomogło. Zamknęła oczy, pomasaowała je i ponownie otworzyła. Słyszała, jak w przejściu za jej plecami jakaś matka kłóci się ze swoim synkiem. Obejrzała się przez ramię. Chłopiec wyglądał na rówieśnika Kyle'a: mniej więcej cztery i pół roku. Matka, tak samo zestresowana jak Denise, trzymała go mocno za ramiona. Dzieciak tupał nogami.

— Chcę babeczki! — zawodził.

Matka nie dawała za wygraną.

— Powiedziałam nie. Zjadłeś już dziś dosyć słodczy.

— Ale ty sobie coś kupujesz!

Po chwili Denise odwróciła się z powrotem. Kolejka w ogóle się nie przesunęła. Dlaczego to tak długo trwało? Wyciągnęła szyję, próbując dociec, co się tam dzieje. Panienska przy kasie kompletnie się pogubiła, a wszyscy stojący przed Denise mieli chyba zamiar płacić kartami kredytowymi. Minęła następna minuta; z kolejki ubyla zaledwie jedna osoba. Tymczasem matka z dzieckiem stanęła bezpośrednio za Denise. W dalszym ciągu się kłócili.

— No, kup mi babeczkę!

— Jeśli się nie uspokoisz, dostaniesz lanie. Nie mamy na to czasu.

- Ale ja jestem głodny!
- W takim razie powinieneś zjeść hot doga.
- Nie chcę hot doga.

I tak to się toczyło. Kasjerka obsłużyła trzech kolejnych klientów i Denise stanęła w końcu przy kasie i zapłaciła gotówką. Miała jedną kartę kredytową na wszelki wypadek, ale bardzo rzadko, a właściwie prawie nigdy jej nie używała. Wydanie reszty sprawiało jednak kasjerce jeszcze więcej kłopotu niż pobranie pieniędzy z karty. Bez przerwy zerkła na cyfry na wyświetlaczu, starając się je właściwie odczytać. Klótnia między matką i synem trwała w najlepsze. Po dłuższym czasie Denise dostała w końcu resztę, schowała ją do torebki i ruszyła w stronę drzwi. Zdając sobie sprawę, jak bardzo wszyscy są zdenerwowani, odwróciła się i uśmiechnęła do stojącej za nią matki. „Dzieci potrafią czasami dać w kość, prawda?”, mówiło jej spojrzenie.

Kobieta przewróciła w odpowiedzi oczyma.

— Ma pani szczęście — stwierdziła.

Denise posłała jej zaintrygowane spojrzenie.

— Słucham?

— Powiedziałam, że ma pani szczęście. — Kobieta wskazała swojego syna. — Ten nigdy nie potrafi się zamknąć.

Denise wbiła wzrok w podłogę, zaciśnęła wargi i pokiwała głową, a potem odwróciła się i wyszła na dwór. Mimo obawy przed burzą i zmęczenia po całodziennym jeździe z centrum medycznego potrafiła myśleć tylko o Kyle’u. W drodze do samochodu zachciało się jej nagle płakać.

— Nie — szepnęła do siebie. — To pani ma szczęście.

Rozdział 1

Dlaczego do tego doszło? Dlaczego ze wszystkich dzieci musiało się to przytrafić właśnie Kyle'owi?

Po zatankowaniu benzyny Denise ruszyła w drogę, wciąż wyprzedzając burzę. Przez następne dwadzieścia minut deszcz lał równo, ale niegroźnie. Jadąc do Edenton w Karolinie Północnej, patrzyła, jak wycieraczki zbierają wodę w tę i z powrotem. Wcisnęła puszkę dietetycznej coli między ręczny hamulec i siedzenie kierowcy i choć wiedziała, że jej szkodzi, w ciągu krótkiej chwili wypila całą. Zaczęła żałować, że nie kupiła dwóch. Miała nadzieję, że kofeina pobudzi jej uwagę, że dzięki niej skupi się na prowadzeniu, zamiast na Kyle'u. Ale i tak nie mogła nigdy zapomnieć o Kyle'u.

Kyle. Cóż mogła powiedzieć? Był kiedyś jej częścią; słyszała, jak bije jego serce, gdy miał dwanaście tygodni, czuła, jak się rusza przez ostatnie pięć miesięcy ciąży.

Zaraz po rozwiązaniu, jeszcze na sali porodowej, zerknęła na Kyle'a i stwierdziła, że nie ma na świecie piękniejszego dziecka. To przeświadczenie nie zmieniło się, chociaż trudno ją było uznać za idealną matkę. Ostatnio dawała po prostu

z siebie wszystko, godząc się z tym, co dobre i co złe, ciesząc się z każdego miłego drobiazgu. Z Kyle'em czasami trudno było je znaleźć.

Przez ostatnie cztery lata starała się zachować w stosunku do niego anielską cierpliwość, lecz nie zawsze było to łatwe. Pewnego razu, gdy był jeszcze niemowlakiem, zatkała mu na chwilę dłońią usta, ale płakał wtedy przez pięć godzin i nie spała całą noc. Każdy rodzic uznałby się w takiej sytuacji za usprawiedliwionego. Potem jednak starała się trzymać nerwy na wodzy. Czując, jak wzbiera w niej frustracja, liczyła powoli do dziesięciu, zanim cokolwiek zrobiła, a jeśli to nie skutkowało, wychodziła z pokoju, żeby się opanować. Na ogół pomagało, ale było to błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Błogosławieństwo, gdyż wiedziała, że aby mu pomóc, niezbędna jest cierpliwość; przekleństwo, bo stawiało pod znakiem zapytania jej własne kwalifikacje jako matki.

Kyle urodził się dokładnie cztery lata po śmierci jej matki, która zmarła na tętniaka mózgu, i chociaż normalnie Denise nie wierzyła w przeznaczenie, nie mogła tego uważać za zwykły zbieg okoliczności. Kyle, była tego pewna, stanowił dar od Boga. Został przysłany, by zastąpić jej rodzinę. Oprócz niego nie miała na świecie nikogo. Nie miała rodzeństwa, ojciec zmarł, gdy skończyła cztery lata, dziadkowie z obu stron dawno odeszli. Kyle natychmiast stał się jedynym adresatem miłości, którą miała do zaoferowania. Ale koleje losu są dziwne i nieprzewidywalne. Choć obdarzała syna całą swoją uwagą, okazało się, że to nie wystarcza. Teraz prowadziła życie, którego nie przewidywała, życie, w którym codzienne postępy Kyle'a odnotowywane były starannie w specjalnym dzienniczku. To życie było całkowicie poświęcone jej synowi. Kyle oczywiście nie

skarżył się na to, co robili każdego dnia. Kyle, w przeciwieństwie do innych dzieci, nigdy się na nic nie skarżył. Zerknęła na niego w tylnym lusterku.

— O czym myślisz, kochanie?

Kyle obserwował siekący o szyby deszcz ze zwróconą na bok głową. Kolana przykryte miał kocykiem. Nie powiedział nic, odkąd wszedł do samochodu, i teraz odwrócił się na dźwięk jej głosu.

Czekała na jego odpowiedź. Ale się nie odezwał.

*

Denise Holton mieszkała w domu, który należał kiedyś do jej dziadków. Po ich śmierci przeszedł na własność jej matki, a potem ona została spadkobierczynią. Zbudowany w latach dwudziestych na trzech akrach ziemi, mały domek popadał powoli w ruinę. Dwie sypialnie i salon były w niezłym stanie, ale w kuchni brakowało nowoczesnego sprzętu, a łazienka nie miała prysznicy. Werandy z przodu i z tyłu zapadały się i bez przenośnego wentylatora Denise miała czasami wrażenie, że się żywcem upiecze. Ponieważ jednak mogła tu mieszkać, nie płacąc czynszu, miejsce to było dokładnie tym, czego potrzebowała. Sprowadziła się tu przed trzema miesiącami.

Dalszy pobyt w Atlancie, w mieście, gdzie dorastała, okazał się niemożliwy. Kiedy urodził się Kyle, wydała pieniądze odziedziczone po matce, żeby pozostać z nim w domu. Wydawało jej się to wtedy tymczasowym urlopem wychowawczym. Planowała, że gdy Kyle trochę podrośnie, wróci do pracy. Zdawała sobie sprawę, że pieniądze kiedyś się skończą i będzie musiała z powrotem zarabiać na życie. Poza tym nauczanie było czymś, co uwielbiała. Już po pierwszym tygodniu w domu brakowało jej uczniów i kole-

gów nauczycieli. Teraz, po kilku latach, wciąż siedziała w domu z Kyle'em i zawód nauczycielki stał się niewyraźnym odległym wspomnieniem, czymś, co bardziej przypominało sen niż rzeczywistość. Nie pamiętała ani jednego planu lekcji, ani jednego ucznia, którego uczyła. Gdyby to nie była szczerza prawda, mogłaby przysiąc, że nigdy nie pracowała w szkole.

Młodość mami obietnicą szczęścia, lecz potem człowiek zderza się ze smutną rzeczywistością. Jej ojciec, matka, dziadkowie — wszyscy odeszli, nim skończyła dwadzieścia jeden lat. Choć zdążyła już odwiedzić pięć domów pogrzebowych, ciągle nie mogła legalnie wejść do baru, żeby zalać robaka. Doświadczyła wielu nieszczęść, ale Bóg nie zamierzał, jak się okazało, na tym poprzestać. Jej cierpienia, podobnie jak cierpienia Hioba, wcale się nie zakończyły. Życie na poziomie klasy średniej? *Nawet o tym nie myśl.* Przyjaciele, z którymi dorastała? *Musisz się z nimi pożegnać.* Praca, która sprawiałaby przyjemność? *Dość tych fanaberii.* I Kyle — słodki, wspaniały chłopiec, dla którego to wszystko robiła — pod wieloma względami wciąż pozostawał dla niej tajemnicą.

Zamiast w szkole pracowała wieczorami w barze o nazwie Ósemka — zatłoczonej knajpce na przedmieściach Edenton. Jej czarny właściciel, liczący sobie sześćdziesiąt kilka lat Ray Toler, prowadził ją od trzydziestu lat. On i jego żona wychowali sześcioro dzieci i wszystkie skończyły studia. Kopie ich dyplomów wisiały na tylnej ścianie i ci, którzy tam się stołowali, znali na pamięć ich sukcesy. Zadbał o to sam Ray. Lubił również opowiadać o Denise. Ona jedyna, powtarzał, starając się o pracę, wręczyła mu swój życiorys.

Ray był człowiekiem, który rozumiał ubóstwo, który rozumiał, jak ważne jest okazanie pomocnej ręki i jak ciężkie bywa czasem życie samotnej matki. „Na zapleczu jest mały

pokoik”, powiedział, zatrudniając ją. „Możesz przywozić ze sobą syna pod warunkiem, że nie będzie przeszkadzał”. Łza zakreśliła jej się w oku, kiedy tam zajrzała. W środku były dwie kozetki i nocna lampka: Kyle mógł się czuć bezpiecznie. Nazajutrz wieczorem zasnął w pokoju na zapleczu, jeszcze zanim zaczęła swoją zmianę; o północy zaniósła go do samochodu i odwiozła do domu. Od tego czasu ten tryb postępowania nie uległ zmianie.

Pracując po pięć godzin, cztery razy w tygodniu, dostawała na rękę dosyć, żeby się jakoś utrzymać. Dwa lata temu sprzedała swoją hondę i kupiła wiekowego, ale porządnego datsuna, zarabiając na różnicy cen. Te pieniądze, razem ze wszystkim, co zostało po jej matce, dawno się rozeszły. Stała się mistrzynią drobnych oszczędności, specjalistką od wiązania końca z końcem. Nie kupiła sobie nic z ubrania od ostatniego Bożego Narodzenia; meble, choć porządne, stanowiły wspomnienie poprzedniego życia. Nie prenumerowała żadnych magazynów, nie miała kablówki, jej wieża była starym gratem jeszcze ze studenckich czasów. Ostatnim filmem, jaki oglądała na srebrnym ekranie, była „Lista Schindlera”. Rzadko kiedy pozwalala sobie na zamiejscową rozmowę. W banku miała dwieście trzydzieści osiem dolarów. Jej samochód miał dziewiętnaście lat i dosyć mil na liczniku, żeby pięciokrotnie okrążyć kulę ziemską.

Żadna z tych rzeczy nie miała jednak znaczenia. Liczył się tylko Kyle.

Który ani razu nie powiedział, że ją kocha.

*

Wieczorem, kiedy nie pracowała w barze, Denise siadała na ogół z książką na kolanach na bujaku na tylnej werandzie. Lubiła czytać na dworze, słuchając wzmagającego się i cich-

nącego cykania świerszczy, odznaczającego się kojącą monotonią. Wokół jej domu rosły dęby, cyprysy i hikorowe orzechy, wszystkie udrapowane obficie hiszpańskim mchem. Czasami, kiedy świecił zza nich pod odpowiednim kątem księżyc, na wysypany żwirem podjazd padały cienie przypominające egzotyczne zwierzęta.

W Atlancie czytała dla przyjemności. Jej upodobania sięgały od Hemingwaya i Steinbecka po Grishama i Kinga. Choć tego rodzaju książki były dostępne w miejscowej bibliotece, nigdy ich już nie wypożyczyła. Zamiast tego korzystała z komputera w czytelní, z darmowym dostępem do internetu. Studiowała wyniki badań klinicznych sponsorowanych przez wielkie uniwersytety, drukując sprawozdania za każdym razem, gdy znalazła coś interesującego. Stos zgromadzonych przez nią w ten sposób prac miał już trzy cale grubości.

Na podłodze przy fotelu leżały poza tym różne podręczniki psychologii, które kosztowały na ogół masę pieniędzy i powodowały poważne dziury w budżecie. Były dla niej jednak źródłem nadziei i, złożywszy zamówienie, nie mogła się doczekać, kiedy nadejdą. Tym razem, lubiła sobie powtarzać, znajdzie coś, co pomoże.

Potem ślęczała przez długie godziny, studiując zawarte w nich informacje. Ze świecą za plecami lampą czytała uważnie, trafiając często na rzeczy, które już знаła. Mimo to nie spieszyła się. Czasami robiła notatki, innym razem zaginała po prostu stronę i podkreślała to czy inne zdanie. Mijała godzina, niekiedy dwie, zanim zamykała w końcu podręcznik i wstawiała, żeby rozprostować zdrtwiałe kości. Odnosiła książki na biureczko w salonie, zaglądała do Kyle’a i wychodziła z powrotem na dwór.

Od wysypanej żwirem alejki biegła między drzewami ścieżka prowadząca do połamanego płotu, który stanowił

granicę jej posiadłości. W ciągu dnia spacerowała tu razem z Kyle'em, w nocy chodziła sama. Zewsząd sączyły się dziwne dźwięki: gdzieś w górze pohukiwała sowa, coś szeleściło w zaroślach, z boku jakieś zwierzę biegło po gałęzi. Poruszone morską bryzą liście wydawały odgłos podobny do oceanu; światło księżyca zapalało się i gasło. Ścieżka prowadziła prosto przed siebie, Denise dobrze ją знаła. Za płotem zamykał się wokół niej las. Słyszała kolejne dźwięki, już nie tak ciche, lecz mimo to szła dalej. W końcu mrok łapał ją niemal za gardło. Słyszała już wtedy szum wody; w pobliżu płynęła Chowan River. Kolejna kępa drzew, zakręt w prawo i nagle miała wrażenie, że otwiera się przed nią świat. Przed jej oczyma pojawiała się powoli tocząca wody, szeroka rzeka. Potężna, odwieczna, czarna niczym czas. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, wpatrywała się w jej nurt, wchłaniała go w siebie, pozwalając, by ogarnął ją emanujący zeń spokój. Stała tak przez parę minut, rzadko dłużej, ponieważ w domu czekał na nią Kyle.

A potem wzdychała i odwracała się od rzeki, wiedząc, że pora wracać.

Rozdział 2

Jadąc samochodem i wyprzedzając o kilka mil burzę, Denise przypomniła sobie poranną wizytę u lekarza. Doktor czytał jej wyniki badań Kyle'a.

Dziecko płci męskiej, wiek cztery lata i cztery miesiące... Kyle jest ładnym dzieckiem bez wyraźnych fizycznych uszkodzeń w obrębie głowy i twarzy... nie zauważono urazów czaszki... przebieg ciąży opisany przez matkę jako normalny...

Lekarz przez kilka minut przedstawiał dokładne wyniki różnych testów. W końcu dotarł do końcowych wniosków.

Mimo że iloraz inteligencji dziecka nie odbiega od normy, umiejętności w zakresie pojmowania i wyrażania mowy są znacznie opóźnione... prawdopodobnie wynika to z zaburzeń centralnego ośrodka słuchu, lecz przyczyny nie są do końca ustalone... ogólne umiejętności językowe na poziomie dwuletniego dziecka... ewentualne predyspozycje do nauki na razie nieznane...

Prawie jak u niemowlaka, pomyślała bezsilnie.

Lekarz skończył, odłożył na bok rezultaty badań i popatrzył na nią ze współczuciem.

— Innymi słowy — zaczął wolno, jak gdyby nie rozumiała tego, co przed chwilą przeczytał — Kyle ma problemy z mową. Z jakiegoś powodu... nie jesteśmy pewni dlaczego... nie jest w stanie mówić na poziomie ogólnie przyjętym dla jego wieku, mimo że iloraz inteligencji jest w normie. Nie rozumie także języka zbliżonego poziomem do mowy innych czterolatków.

— Wiem o tym.

Pewność, z jaką to powiedziała, zbiła go z tropu. Denise miała wrażenie, że spodziewał się z jej strony kłótni, wymówek albo serii łatwych do przewidzenia pytań. Gdy zorientował się, że nie zamierza powiedzieć nic więcej, odchrząknął.

— Mam tu odnotowane, że badała go pani gdzie indziej.

— Owszem — przytaknęła.

— Wyników nie ma w aktach — stwierdził, przejrzawszy plik dokumentów.

— Nie dałam ich panu.

— A to dlaczego? — zapytał, unosząc lekko brwi.

Zastanawiając się, co mu odpowiedzieć, sięgnęła po torebkę i położyła ją sobie na kolanach.

— Mogę być szczerą? — odparła w końcu.

Lekarz obserwował ją przez chwilę, a potem odchylił się w fotelu.

— Proszę bardzo.

Denise zerknęła na Kyle'a i spojrzała lekarzowi prosto w oczy.

— Przez dwa lata błędnie go diagnozowano. Przypisywano mu wszystko, począwszy od głuchoty, przez autyzm

i postępujące zaburzenia rozwoju, aż do zaburzeń koncentracji uwagi. Z biegiem czasu okazywało się, że żadna z tych diagnoz nie była trafna. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jak trudno jest matce dowiadywać się takich rzeczy o własnym dziecku, starać się uwierzyć w nie przez długie miesiące, uczyć się na ich temat wszystkiego i w końcu je zaakceptować, a potem dowiedzieć się, że rozpoznanie było błędne?

Lekarz nie odpowiedział. Denise spojrzała mu prosto w oczy i zmusiła, by nie odwracał przez chwilę wzroku.

— Wiem, że Kyle ma trudności z mową i, proszę mi wierzyć, przeczytałam wszystko o zaburzeniach centralnego ośrodka słuchu. Z całym szacunkiem, przeczytałam na ten temat prawdopodobnie tyle samo co pan. Mimo to chciałam, żeby jego zdolności językowe zostały zbadane przez niezależne źródło. Chciałam się dokładnie dowiedzieć, w jakiej dziedzinie potrzebuje pomocy. W realnym świecie Kyle będzie musiał porozumiewać się nie tylko ze mną.

— Więc nic z tego nie jest dla pani nowością?

— Nie — odparła, potrząsając głową.

— Czy jest poddawany terapii?

— Pracuję z nim w domu.

Lekarz przez chwilę milczał.

— Czy jest pod opieką logopedy, psychologa, kogokolwiek, kto pracował wcześniej z takimi dziećmi jak on? — zapytał w końcu.

— Nie. Przez ponad rok chodził trzy razy w tygodniu na terapię, ale to nic nie pomagało. Pozostawał w tyle, więc wypisałam go w październiku. Teraz pracuje ze mną.

— Rozumiem.

Ton jego głosu wskazywał, że nie popiera jej decyzji.

Denise zmrużyła oczy

— Musi pan to zrozumieć: chociaż wyniki badań pokazują, że Kyle jest na poziomie dwuletniego dziecka, i tak stanowi to znaczną poprawę. Zanim zaczęłam z nim pracować, nie czynił żadnych postępów.

*

Jadąc trzy godziny później autostradą, Denise pomyślała o Bretcie Cosgrove, ojcu Kyle'a. Był typem mężczyzny, który zawsze ją pociągał: wysoki i szczupły, o ciemnych oczach i hebanowych włosach. Zobaczyła go na przyjęciu, otoczonego ludźmi, najwyraźniej przyzwyczajonego do tego, że znajduje się w centrum uwagi. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata, z nikim nie chodziła i drugi rok uczyła w szkole. Zapytała o niego swoją przyjaciółkę Susan. Dowiedziała się, że Brett przyjechał do Atlanty na kilka tygodni i pracuje w banku inwestycyjnym, którego nazwa wyleciała jej już z głowy. Fakt, że był z innego miasta, nie miał znaczenia. Popatrzyła na niego, on na nią. Ich oczy spotykały się przez następne czterdzieści minut i w końcu podszedł się przedstawić.

Kto potrafi wyjaśnić, co się stało później? Hormony? Samotność? Chwilowy kaprys? Opuścili przyjęcie trochę po jedenastej i wypili parę drinków w hotelowym barze, opowiadając sobie sprośne anegdotki i doskonale wiedząc, do czego to może doprowadzić. W końcu wylądowali w łóżku. Widziała go wtedy po raz pierwszy i ostatni. Wrócił do Nowego Jorku, do swojego życia. Do dziewczyny, o której, jak przypuszczała, zapomniał wspomnieć. Ona również wróciła do swojego życia.

Wówczas niewiele to dla niej znaczyło. Miesiąc później, gdy we wtorkowy rano klęczała w łazience na podłodze, obejmując ręką sedes, znaczyło już o wiele więcej. Lekarz potwierdził to, co już wiedziała.

Była w ciąży.

Zadzwoiła do Bretta i zostawiła mu wiadomość na automatycznej sekretarce, z prośbą o telefon. Odezwał się trzy dni później. Wysłuchał jej i westchnął. W jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie. Zaproponował, że pokryje koszty aborcji. Jako katoliczka nie przyjęła jego oferty. Rozzłoszczony, spytał, jak do tego doszło. Chyba znasz odpowiedź na to pytanie, odparła. Zapytał, czy jest pewna, że to jego dziecko. Zamknęła oczy, nie dając się sprowokować. Tak, jego. Powtórnie zaoferował, że zapłaci za aborcję. Odmówiła. W takim razie czego od niego oczekuje? Niczego, uważała tylko, że powinien wiedzieć. Zapowiedział wniesienie sprawy do sądu, jeśli wystąpi o alimenty. Oświadczyła, że nie potrzebuje jego pieniędzy, chce tylko wiedzieć, czy będzie obecny w życiu dziecka. Słuchała, jak oddycha po drugiej stronie słuchawki. Nie, odparł w końcu. Jest zaręczony z kimś innym.

Nigdy więcej z nim nie rozmawiała.

*

Prawdę mówiąc, łatwiej było bronić Kyle'a przed lekarzem niż przed nią samą. W rzeczywistości martwiła się o syna bardziej, niż dawała to po sobie poznać. Mimo wyraźnych postępów umiejętności językowe na poziomie dwuletniego dziecka nie stanowiły powodu do chwały. Kyle kończył w październiku pięć lat.

Mimo to nie dawała za wygraną. Wiedziała, że nigdy nie da za wygraną, chociaż praca z nim była najtrudniejszą rzeczą, jakiej się w życiu podjęła. Nie chodziło tylko o codzienne obowiązki — przygotowywanie posiłków, spacer po parku, zabawy w salonie, pokazywanie mu nowych miejsc i tak dalej. Przez cztery godziny dziennie, sześć razy

w tygodniu zgłębiała z nim mechanikę mowy. Jego postępy, chociaż niezaprzeczalne, odkąd zaczęła terapię, nie były jednak stałe. Czasami powtarzał wszystko, o co go prosiła, czasem nie. Czasami przyswajał sobie bez problemu nowe słowa, innym razem zdawał się bardziej niż zwykle opóźniony. Prawie zawsze był w stanie odpowiadać na pytania typu „co?” i „gdzie?”. Pytania o to „jak?” i „dlaczego?” były dla niego niezrozumiałe. Jeśli chodzi o rozmowę — przepływ informacji między dwoma osobami — była to tylko naukowa hipoteza, coś, co zdecydowanie przekraczało jego możliwości.

Wczorajsze popołudnie spędzili przy Chowan River. Kyle z zaciekawieniem przyglądał się statkom, które, prując wodę, płynęły do Batchelor Bay. Stanowiło to miłą odmianę w stosunku do codziennych zajęć. Zwykle, gdy pracowali, był przypięty pasami do fotelika w salonie. Pomagało mu to się skupić.

Denise wybrała wspaniałe miejsce. Przy brzegach rosły drzewa hikorowe i paprocie, prawie nie było komarów. Siedzieli tylko we dwoje na kępie koniczyzny. Kyle patrzył na wodę. Denise starannie odnotowywała jego postępy w dzienniczku.

— Widzisz jakieś statki, kochanie? — spytała, nie podnosząc wzroku.

Kyle nie odpowiedział. Zamiast tego podniósł w górę mały samolocik i udawał, że nim fruwa. Jedno jego oko było zamknięte, drugie podążało za zabawką.

— Kyle, skarbie, widzisz jakieś statki?

Mały wydał z siebie piskliwy cichy odgłos przypominający pracę wyimaginowanego silnika. Nie zwracał na nią uwagi.

Denise spojrzała na rzekę. W zasięgu wzroku nie było żadnych statków. Pochyliła się i dotknęła jego ręki, żeby upewnić się, że ją słyszy.

— Kyle? Powiedz: „Nie widzę żadnych statków”.

— Samolot (*amolo*).

— Wiem, że to samolot. Powiedz: „Nie widzę żadnych statków”.

Kyle podniósł zabawkę wyżej, wciąż wpatrując się w nią jednym okiem.

— Odrzutowiec — oznajmił po krótkiej chwili. (*Jutowiec*).

— Tak, trzymasz w rękę samolot.

— Odrzutowiec (*jutowiec*).

Denise westchnęła.

— Tak, odrzutowiec — potwierdziła.

— Amolo.

Spojrzała na jego twarz, taką doskonałą, taką piękną, taką normalną. Wzięła go palcem pod brodę.

— To, że jesteśmy na dworze, nie znaczy, że nie musimy trochę popracować... Musisz powtórzyć, co do ciebie mówię, albo wrócimy do domu, na fotelik. Nie chciałbyś tego, prawda?

Kyle nie lubił swojego fotelika. Przypięty pasami, nie mógł nigdzie uciec, a żadne dziecko — nawet on — nie przepada za czymś takim. Mimo to z wytężoną uwagą przesuwiał w tę i z powrotem samolot, wyrównując jego kurs nad wymaginywanym horyzontem.

Denise spróbowała ponownie.

— Powiedz: „Nie widzę żadnych statków”.

Cisza.

Z kieszeni płaszcza wyjęła cukierek.

Kyle dostrzegł go i wyciągnął rękę. Trzymała cukierek poza jego zasięgiem.

— Kyle? Powiedz: „Nie widzę żadnych statków”.

Przypominało to wyrywanie zębów, ale w końcu się odezwał.

— Nie widzę żadnych statków. (*Nie fidze jadnych tat-ków*).

Denise pocałowała go i dała mu cukierka.

— Bardzo dobrze, kochanie, bardzo dobrze. Ładnie to powiedziałaś! Świetnie ci idzie!

Kyle przyjął jej pochwały, żując cukierka, po czym powtórnie skupił uwagę na zabawce.

Denise zanotowała jego słowa i postanowiła, że będzie kontynuować lekcję. Popatrzyła w górę, myśląc o czymś, czego jeszcze dziś nie powiedział.

— Kyle, powiedz: „Niebo jest niebieskie”.

— Amolo.

*

Do domu zostało im jeszcze jakieś dwadzieścia minut drogi. Usłyszała, jak Kyle wierci się w swoim fotelu, i zerknęła we wsteczne lustro. Odgłosy z tyłu wkrótce ucichły. Starła się nie hałasować, póki nie przekonała się, że znów zasnął.

Kyle.

Wczorajszy dzień był typowy. Jeden krok naprzód, jeden do tyłu, dwa w bok, wieczna walka. Poczynił znaczne postępy, ale wciąż pozostawał opóźniony w porównaniu z innymi. Czy kiedykolwiek ich dogoni?

Ciemne chmury przysłoniły niebo, deszcz padał nieustannie. Siedzący z tyłu Kyle śnił coś, drgały mu powieki. Zastanawiała się, jakie są jego sny. Czy pozbawione dźwięku, jak nieme filmy? Nieme obrazy przecinających niebo rakiet i odrzutowców? Może we śnie używał paru znanych mu słów? Nie wiedziała. Czasem, siedząc obok niego przy łóżku, gdy spał, wyobrażała sobie, że w jego snach istnieje świat, w którym wszyscy go rozumieją, gdzie język —

niekoniecznie angielski — ma dla niego sens. Miała nadzieję, że we śnie bawi się z innymi dziećmi, dziećmi, które go akceptują, a nie stronią od niego, bo nie potrafi mówić. Miała nadzieję, że przynajmniej w snach jest szczęśliwy. Czy Bóg nie mógł sprawić chociaż tego?

Jadąc opustoszałą autostradą, była sama. Była sama, mimo że z tyłu siedział Kyle. Nie wybrała sobie takiego życia: takie po prostu przypadło jej w udziale. Mogło oczywiście być gorzej i starała się usilnie patrzeć na to właśnie z tej strony. Na ogół jednak nie było to łatwe.

Czy Kyle borykałby się z takimi problemami, gdyby miał przy sobie ojca? W głębi serca nie wiedziała tego, ale nie chciała w ten sposób myśleć. Podzieliła się raz swoimi wątpliwościami z jednym z lekarzy. Odparł, że nie wie. Była to uczciwa odpowiedź — takiej się spodziewała — ale potem przez cały tydzień cierpiała na bezsenność. Lekarz nie wykluczył tej możliwości i nie dawało jej to spokoju. Czy w jakiś sposób była odpowiedzialna za problemy syna? Takie myśli prowadziły prostą drogą do innych pytań. Jeżeli zaburzenia nie wynikały z braku ojca, to może z czegoś, co zrobiła podczas ciąży? Może nieodpowiednio się odżywiła, może za mało wypoczywała? Może powinna brać więcej witamin? Albo mniej? Może czytała mu za mało, gdy był niemowlakiem? Ignorowała go, kiedy najbardziej jej potrzebował? Takie myśli sprawiały jej dotkliwy ból i starała się je od siebie za wszelką cenę oddalić. Ale czasami późno w nocy wątpliwości powracały. Pleniły się w jej umyśle niczym trujący bluszcz. Nie było przed nimi ucieczki.

Może to wszystko było jej winą?

W takich chwilach zakradała się do pokoju Kyle'a. Spał, z białym pledem owiniętym wokół głowy, trzymając w rękę zabawki. Patrząc na niego, czuła radość przemieszaną ze

smutkiem. Kiedy jeszcze mieszkała w Atlancie, ktoś zapytał ją, czy urodziłaby Kyle'a, gdyby знаła wszystkie konsekwencje. „Oczywiście”, odparła szybko, zgodnie z tym, czego po niej oczekiwano. I w głębi serca naprawdę nie miała żadnych wątpliwości. Mimo jego problemów uważała Kyle'a za uśmiech losu. Kiedy rozpatrywała wszystkie plusy i minusy, lista tych pierwszych była nie tylko dłuższa, ale i o wiele bardziej znacząca.

Z powodu jego problemów nie tylko go kochała, lecz czuła, że musi go chronić. Każdego dnia pragnęła stawać w jego obronie, tłumaczyć jego zachowanie, sprawić, by inni zrozumieli, że chociaż Kyle wygląda normalnie, coś jest nie tak z jego mózgiem. Na ogół jednak nie robiła tego. Pozwalała, żeby inni osądzali go sami. Jeśli go nie rozumieli, jeżeli nie dali mu szansy, ich strata. Kyle był przecież cudownym dzieckiem. Nie krzywdził swoich rówieśników; nigdy ich nie bił, nie szczypał ani nie krzyczał. Nie zabierał zabawek, dzielił się własnymi nawet wtedy, gdy nie miał na to ochoty. Był taki słodki, najśłodszy pod słońcem, a kiedy się uśmiechał... Boże, był taki śliczny. Uśmiechała się do niego w odpowiedzi i przez ułamek sekundy wydawało jej się, że wszystko jest w porządku. Mówiła mu, jak bardzo go kocha, a on uśmiechał się coraz szerzej, ale ponieważ nie mógł mówić, miała czasami wrażenie, że jest jedyną osobą na świecie, która widzi, jaki Kyle jest cudowny. Dlatego siedział sam w piaskownicy i bawił się ciężarówkami, ignorowany przez inne dzieci.

Bez przerwy się o niego martwiła i chociaż wszystkie matki martwią się o swoje dzieci, wiedziała, że to nie to samo. Czasami żałowała, że nie zna nikogo, kto ma dziecko podobne do Kyle'a. Kogoś, kto by ją zrozumiał. Miałaby wtedy kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, podzielić się

uwagami, kogoś, na którym ramieniu mogłaby się wyplakać. Czy inne matki budzą się każdego dnia i zastanawiają, czy ich dziecko będzie kiedykolwiek miało przyjaciela? Jakiegokolwiek przyjaciela? Kiedykolwiek? Czy inne matki zastanawiają się, czy ich dziecko będzie uczęszczało do normalnej szkoły, brało udział w zawodach sportowych, chodziło na bale? Czy widzą, jak ich dziecko jest bojkotowane nie tylko przez inne dzieci, ale również przez innych rodziców? Czy zamartwiają się przez cały dzień bez przerwy, wiedząc, że to nigdy się nie skończy?

Jej myśli podążały utartym torem, kiedy prowadziła starego datsuna, mijając znajomą okolicę. Zostało jej może jakieś dziesięć minut jazdy. Za następnym zakrętem skręci na most do Edenton, a potem w lewo w Charity Road. Stamtąd do domu zostanie jej tylko jedna mila. Deszcz wciąż padał i asfalt był czarny i lśniący. Krople deszczu jaśniały w światłach reflektorów i miała wrażenie, że z nieba spadają diamenty. Mijała pozbawione nazwy mokradła, jedno z wielu tutejszych bagien zasilanych wodami cieśniny Albemarle. Mieszkało tutaj mało ludzi i prawie się ich nie widywało. Na autostradzie nie było innych samochodów. Weszła w zakręt z prędkością około sześćdziesięciu mil na godzinę i nagle w odległości niecałych czterdziestu jardów zobaczyła przed sobą zastygłą w bezruchu dorosłą łanię, wpatrzoną w zbliżające się światła.

Jechała za szybko, by móc się zatrzymać, ale instynkt wziął górę i wcisnęła hamulec. Usłyszała pisk opon i poczuła, jak tracą przyczepność na śliskiej nawierzchni. Siła poślizgu pchała samochód do przodu. Łania się nie poruszyła. Denise widziała jej oczy, dwie żółte plamki gorejące w ciemności. Jechała prosto na nią. Usłyszała swój własny krzyk i skręciła do oporu kierownicę. Przednie opony nagle zareagowały.

Samochód przeciął drogę po skosie, mijając o kilkanaście cali osłupiałe zwierzę. Łania ocknęła się z letargu i bezpiecznie umknęła, nie oglądając się za siebie.

Lecz manewr Denise okazał się zbyt ostry dla samochodu. Poczuła, jak koła odrywają się od nawierzchni, i usłyszała głuche łupnięcie, gdy datsun z powrotem wylądował na asfalcie. Zużyte amortyzatory zaskrzypiały niczym złamana trampolina. Niespełna trzydzieści stóp od autostrady rosły cyprysy. Zdesperowana Denise ponownie skrzyła kierownicą, lecz samochód wciąż pędził do przodu. Otworzyła szeroko oczy i wypuściła z ust powietrze. Miała wrażenie, że wszystko porusza się w zwolnionym tempie, potem szybciej, a potem znowu wolniej. Zdała sobie nagle sprawę, że nic nie zdoła jej ocalić; uświadomienie sobie tego trwało zaledwie ułamek sekundy. W tym samym momencie uderzyła w drzewo. Usłyszała zgrzyt metalu i brzęk tłuczonego szkła. Przód samochodu eksplodował i poleciał w jej stronę. Przypięta pasem tylko w talii, walnęła głową o kierownicę. Poczuła ostry, szarpiący ból w czole...

A potem nie czuła już nic.